Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 216 (Rok XIII, Nr 2) 15 stycznia 1953 Cena (Price) 1/6

DUŻY KROK NAPRZÓD

ZJEDNOCZENIE polityczne Polaków na emigracji jest potrzebne z trzech nierównego znaczenia powodów. Pierwszym z nich jest skuteczność działania polskiego w świecie. Skutecznie działać dla sprawy polskiej na emigracji może ten, kto reprezentuje wolę wyraźnej większości narodu polskiego. Ponieważ co najmniej od czasu rozwiązania Rady Jedności Narodowej w kraju olbrzymia większość narodu polskiego nie ma możności wypowiedzenia w żadnej sprawdzalnej formie swej woli, każdy tytuł do reprezentacji narodu może być przez obcych podany w wątpliwość. Ten tylko może mówić mocno, kto mówi w imieniu wszystkich lub prawie wszystkich, kogo nie można zaszachować pytaniem „a inne ośrodki?".

Drugim powodem jest położenie w kraju, na co zwracał uwagę po swoim przyjeździe p. Józef Werner. Jednym z głównych argumentów propagandy sowieckiej jest rozbicie polityczne emigracji. Ma ono odebrać narodowi nadzieję na pomoc z jej strony. Zjednoczenie polityczne będzie wielkim dodaniem otuchy ludziom w Polsce.

Trzecim powodem jest położenie samej emigracji. Nieproporcjonalna ilość energii marnuje się dziś na agitację wewnętrzną. Dziesiątki ludzi, którzy mogliby pożytecznie oddziaływać na obcych lub organizować siłę polską, poświęcają czas na krzyżowanie planów innym. Przeciętny człowiek na emigracji najczęściej nie ma ani możności ani ochoty oceniania racji w sporze, który nie dotyczy jego bezpośredniego życia lecz wielkiej i trudnej sprawy działalności w świecie i obyczaju politycznego. Zniechęca się więc do polskości w ogóle albo zamyka w kręgu lokalnych czysto spraw i swarów. Emigracja zamiast być szkołą szczególnego wyrobienia obywatelskiego staje się szkołą demoralizacji politycznej tak dla „wielkich" jak i dla „małych".

Potrzebę zjednoczenia Polacy na ogół rozumieją, mniej natomiast zdają sobie sprawę z trudności zjednoczenia na emigracji. Nacisk opinii publicznej, który we własnym państwie wyraża się tysiącem sposobów, tutaj działa tylko szczątkowo. Naród w kraju wypowiedzieć się nie może, rozproszeni w świecie Polacy mogą wywierać wpływ tylko bardzo pośrednio. W polityce emigracyjnej decyduje dobra wola. Dla osiągnięcia porozumienia w warunkach emigracyjnych trzeba dużo większej ideowości niż w warunkach normalnych. Pesymiści twierdzili nawet, że porozumienie jest w ogóle w tych warunkach niemożliwe.

Wydarzenia zdają się jednak zadawać kłam pesymistom. Już przed trzema laty okazało się możliwe porozumienie w sprawach ogólnopolskich dwóch największych i najbardziej przeciwstawnych tradycyjnie stronnictw polskich: narodowego i socjalistycznego. Obecnie okazało się możliwe jednomyślne wypowiedzenie się wszystkich stronnictw polskich stojących na gruncie ciągłości prawnej państwa polskiego co do osoby przyszłego prezydenta.

Decyzja w tej sprawie dla głównych stronnictw polskich nie była rzeczą łatwą. Generał Sosnkowski, choć otoczony jako człowiek powszechnym szacunkiem, nie był kandydatem stronnictw i jest wybitnym piłsudczykiem. Zgodna decyzja stronnictw jest świadectwem ich patriotyzmu i wysokiego poczucia odpowiedzialności. Umożliwiła ją opinia o gen. Sosnkowskim jako człowieku, który nie tylko w słowach ale i w czynie dawał dowody, że docenia znaczenie praworządności i konieczności demokratycznych form działania politycznego.

Duży krok w kierunku zjednoczenia narodowego został dokonany. Samo zjednoczenie nastąpić może za parę miesięcy. Nie należy się łudzić, by było ono procesem łatwym i zupełnie bezbolesnym. W ciągu lat rozbicia politycznego wyrosły na tym rozbiciu osoby i grupy, które zjednoczenie polityczne automatycznie sprowadzi do właściwych rozmiarów. Spodziewać się, że nie będą one się przed tym broniły, znaczyłoby oczekiwać od nich cech zbyt idealnych. Że oczekiwanie takie nie byłoby uzasadnione, o tym świadczy wystąpienie p. Modrzewskiego w postaci przemówienia imieniem Rady Narodowej na przyjęciu noworocznym u Prezydenta. Pominął w nim całkowicie misję gen. Sosnkowskiego a natomiast wdał się w najbardziej jątrzącą polemikę ze stronnictwami. Wykorzystywanie jubileuszu prof. Strońskiego do jątrzących polemik historyczno-politycznych także tutaj należy.

Tego rodzaju wystąpień nie można lekceważyć. Nawet karzełek może wykoleić wóz umiejętnym włożeniem kija w szprychy.

W nadchodzącym okresie potrzeba nam dobrej woli więcej niż kiedykolwiek ale potrzeba nam i czujności opinii publicznej, by patrzyła na palce karzełkom i nie dała im wkładać kija między szprychy naszego z tak delikatnych materiałów zrobionego wozu państwowego.

ATLANTYK CZY PACYFIK

Najbliższe miesiące powinny przynieść rozstrzygnięcie kwestii niezmiernie istotnej dla rozwoju stosunków na świecie: czy Stany Zjednoczone będą szukać rozwiązań obecnej sytuacji nad Atlantykiem czy Pacyfikiem. Ten skrót myślowy przedstawia bowiem jeden z najważniejszych węzłów polityki Stanów Zjednoczonych a także ich sowieckiego przeciwnika.

Wstępne posunięcia nowego prezydenta amerykańskiego zaprowadziły go na plac boju w Korei i stały się przyczyną wielu domysłów w Ameryce na temat ewentualnego rozszerzenia wojny koreańskiej, użycia wojsk nacjonalistycznych chińskich z Formozy itd. Jako niemal pewne wysuwa się dzisiaj zagadnienie indochińskie, które ma otrzymać miejsce bezpośrednio po koreańskim. Prasa światowa mówi już o tym zupełnie otwarcie. Jednocześnie zarysowuje się wyraźne osłabienie tempa dozbrajania Europy, spowodowane przekonaniem, że Rosja tu na razie nie ma bezpośrednich planów agresji, świadomością słabości ekonomicznej państw europejskich i wrażenie zaciągania się zimnej wojny na lata.

Stany Zjednoczone są równie poważnie zaangażowane na Pacyfiku, jak i na Antlantyku. Przesądzać z góry, który teren uzyska u nich pierwszeństwo jest trudno, tym bardziej że sami Amerykanie jakby ciągle jeszcze tego nie wiedzą. Trzeba więc liczyć się ze wzrostem zainteresowań sprawami azjatyckimi. Przecież właśnie republikanin zainicjował w ubiegłym roku pakt Pacyfiku, znany pod skrótem ANZUS.

Możliwości tego rodzaju, z natury rzeczy osłabiające udział amerykański w sprawach europejskich, idą częściowo po linii przewidywań sowieckich. Ostatni rok rozpoczął się listem Stalina do narodu japońskiego a zakończył wydaniem Chinom kolei mandżurskiej oraz wizytą marsz. Malinowskiego na froncie koreańskim. Sowiety rozwinęły cały aparat dyplomatyczny, wojskowy i propagandowy na terenie azjatyckim, zakładając podstawy pod poważną akcję polityczną i wojskową. Główne posunięcia były obliczone na unieruchomienie Ameryki oraz jej sprzymierzeńców, na rozbudowanie przemysłowego potencjału siły na Dalekim Wschodzie i na całkowite zaplątanie Chin w zbrojną rozprawę ze Stanami Zjednoczonymi.

Dotychczas udało się unieruchomienie sił Narodów Zjednoczonych na Korei. Rozbudowa potencjału przemysłowego, zdolnego do zaopatrywania znacznych armii sowieckich i chińskich idzie całą parą i obejmuje już nie tylko Mandżurię, ale także i obszary Dalekiego Wschodu sowieckiego oraz Chiny północne. Reklamowany obecnie pięcioletni plan uprzemysłowienia Chin jest w dużym stopniu związany właśnie z rozbudową sił wojennych bloku sowieckiego w Azji. Jego uruchomienie oznaczać będzie wzrost potęgi Chin, ale ich jednoczesna zależność od pomocy rosyjskiej i ich całkowite zaplątanie w toczącą się wojnę. To unieruchomienie Chin po stronie sowieckiej pozwala Rosjanom na okazanie gestów większego poparcia dla kraju Mao-Tse-tunga. Do takich gestów należy zaliczyć wizytę Malinowskiego w Korei i oddanie kolei mandżurskiej. Rosja przygotowuje się do spotkania z Ameryką nad Pacyfikiem.

„STABILIZACJA CEN" W POLSCE

Komunistyczna administracja Polski wydała typowo inflacyjne zarządzenie, podnoszące ceny niemal w dwójnasób a płace o przeciętnie 25 procent. Zarządzenie to należy do specjalnego gatunku posunięć gospodarczych i można by je określić jako inflację złośliwą. Chroniąc własną gospodarkę, przeładowaną biurokracją, wysokimi kosztami produkcji, kosztami błędów, pomyłek i masowej produkcji odpadków („brakoróbstwo") reżim postanowił rachunek za to wszystko przedstawić chłopom, robotnikom i resztkom kupiectwa do zapłacenia.

W mieście pierwszą ofiarą zarządzenia padają rozliczne kategorie pracowników fabrycznych i biurowych, którzy z dnia na dzień zostali zmuszeni do kupowania wyłącznie na czarnym rynku po cenach czarnorynkowych, określanych teraz eufemicznie jako „jednolite" i pobierane przez rząd a nie przez przekupnia czy „spekulanta". W tym sensie zarządzenie z 4 stycznia jest praktyczną obniżką zarobków, czy powiększeniem podatku od konsumpcji, jeśli kto woli.

Wieś odczuje zarządzenie w postaci podwyższonych cen wyrobów przemysłowych (trzeba rządowi sprzedać 6 kwintali buraków cukrowych, żeby zarobić na kiepskie trzewiki) oraz w nowych ograniczeniach sprzedaży produktów rolnych. Zarządzenie wprawdzie mówi wiele o „wolnym i nieograniczonym handlu nadwyżkami rolnymi", zezwala jednak na handel dopiero po wykonaniu kontyngentów przez cały powiat, w którym mieszka chłop. W ten sposób ruch handlowy (jeśli chodzi o mąkę i kartofle) będzie legalny tylko na jesieni. Ponieważ zaś dostawy mięsa w tym roku nakładają na rolników większe ciężary niż w ubiegłym (podwyższono kwoty kontyngentów), przeto z rzekomego wolnego handlu niewiele zostanie.

Zarządzenie ma zapobiec spekulacji, która odbywała się rzekomo tak, że spekulanci wykupywali towary w sklepach, aby je potem sprzedawać po wysokich cenach. Tłumaczenie to jest dobre dla naiwnych. Gdyby było dość towarów, nikt by ich nie mógł wykupić i ceny by nie szły do góry. Możliwość takich transakcji, jakie opisuje oficjalny komentarz reżimowy świadczy tylko o katastrofalnym braku towarów z chlebem na czele.

Co zaś do cen, to jednym z najważniejszych skutków nowego zarządzenia było „ustalenie ceny masła na rynkach na poziomie 40—45 zł za kg" według określeń propagandy reżimowej. Cena ta zestawiona z właśnie ogłoszonymi płacami robotników budowlanych (płace reklamowane w afiszach zaciągu na budowy potrzebujące robotników), to jest 650 zł miesięcznie nie wydaje się niska, wręcz przeciwnie. Gdyby bowiem przedwojenny robotnik budowlany zarabiał miesięcznie równoważnik 14 kg masła — otrzymywałby on 55 zł miesięcznie. Tak źle w przemyśle budowlanym nigdy nie bywało. Jest to jedna tylko próbka, przedstawiająca ogólny obraz obecnej sytuacji gospodarczej ludności po noworocznych reformach.

Trzeba już tylko bezczelności komunistycznych propagandzistów, by na licznych wiecach przedstawiać zarządzenie o cenach jako dobrodziejstwo.

Poza parawanem słów ukrywa się przykra rzeczywistość: administracja komunistyczna nie ma funduszów na pokrycie wykonywania planów. Systematyczny wzrost wydatków na te cele miał opierać się o stały wzrost wydajności pracy. Jest to możliwe przy zachowaniu pewnych elementarnych warunków, których komuniści jednak nie chcą zachowywać. Wydajność pracy nie rośnie przez większy wysiłek mięśni pracownika, ale przez racjonalniejsze wykorzystanie jego czasu oraz przez stosowanie maszyn i przyrządów ułatwiających pracę. Do obsługi tych maszyn, często bardzo skomplikowanych, trzeba ludzi porządnie szkolić przez dłuższy czas. Reżimowi wydaje się, że osiągnie to natychmiast i że wczorajszy robotnik rolny z dnia na dzień stanie się wysoko kwalifikowanym pracownikiem nowoczesnego przemysłu. Takie cuda nie zdarzają się nawet pod panowaniem „mądrego Stalina". Wobec tego wydajność pracy rośnie powoli i nie ma pokrycia dla wydatków planowanych przez technokratów z PKPG. Dla ratowania za-

---

OD WYDAWNICTWA

Szczególnie licznie w okresie Świąt nadeszły do naszego Wydawnictwa listy z życzeniami. Tą drogą wszystkim, którzy okazali nam pamięć składamy serdeczne podziękowanie.

grożonych planów trzeba zmniejszyć zarobki — to jest pierwszy powód zarządzenia o „regulacji cen".

Drugim powodem jest chęć zniszczenia resztek drobnego handlu i indywidualnego rolnictwa. Warunki stworzone przez zarządzenie wyraźnie zmierzają do tego celu, określonego w teoretycznym artykule „Trybuny Ludu" z 24. 12. 1952 r. opisującym jak stalinowskie „prawa socjalizmu" mają być zastosowane w Polsce.

Zarządzenie o „regulacji cen" istotnie otwiera nowy okres w kraju. Będzie to okres całkowitej sowietyzacji, zaczętej od obniżenia poziomu życia jednostki do poziomu sowieckiego z czasów drugiej pięciolatki lub z czasów wojny. Jest to cena za wysoka, nawet jeśli wyrosną z niej Nowa Huta i Żerań.

STUDIUM NAJNOWSZYCH MYŚLI PROROKA

Pisaliśmy już z okazji zjazdu partii komunistycznej Sowietów, że satelicy komuniści będą musieli nauczyć się na pamięć wszystkiego co powiedziano w Moskwie. W Polsce rozpoczęła się właśnie kampania mająca na celu wbicie w głowy miejscowym komunistom mądrości podanych do wierzenia przez Stalina i Malenkowa. Najważniejsza jest ze zrozumiałych względów broszura Stalina, gdyż ma ona na celu rozproszenie wątpliwości narosłych w świecie bolszewickim w ostatnich latach. Stalin przecież potwierdził jeszcze raz swoją wiarę w bliski rozkład i upadek świata kapitalistycznego oraz wskazał jak państwa typu sowieckiego mają iść do tak zwanego komunizmu, w którym nic nie będzie należało ani do jednostki, ani do społeczeństwa, ale wszystko do państwa.

Te tezy ogólne oraz szczegółowe twierdzenia Malenkowa, że w państwach satelickich jest nieźle, w Rosji świetnie, w Ameryce zaś raczej kiepsko, są przedmiotem nakazanych studiów w naszym kraju. Uchwała sekretariatu KC PZPR nakazała członkom partii poznanie „najnowszej pracy towarzysza Stalina oraz materiałów XIX zjazdu". To poznanie nie jest drobiazgiem ani sprawą indywidualnego przeczytania odpowiednich wydawnictw. Jest ono ubrane w formę specjalnych kursów i informacji, przez którą muszą przejść komuniści, a także (novum w stosunkach krajowych) wybitniejsi specjaliści wśród niekomunistów, z profesorami uniwersytetów oraz nauczycielstwem szkół średnich i podstawowych na czele.

Oto np. doniesienia z Poznania zebrane na przestrzeni kilku tygodni:

— Profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego musieli przejść kurs w Towarzystwie Naukowym im. Kopernika, wykładowcami byli przedstawiciele katedr ekonomii politycznej i podstaw marksizmu;

— Studenci Akademii Medycznej musieli wysłuchać odczytu mgr Leja o medycynie sowieckiej w związku z uchwałami zjazdu;

— Studenci leśnictwa odbyli karę słuchania odczytów o zalesieniu w Sowietach;

— Wyższa Szkoła Ekonomiczna przebyła całą gorączkę zjazdowo-stalinowską. Cztery dłuższe wykłady na tematy broszury Stalina zostały wygłoszone dla profesorów, potem dla młodszego personelu naukowego, potem powtórzono je dla studentów, a potem jeszcze dodatkowo dla szerszej publiczności;

— W Collegium Minus otwarto specjalną wystawę pod nazwą „gabinet pomocy naukowych z literaturą dotyczącą XIX zjazdu". W nowym Domu Akademickim oraz w Collegium Cieszkowskich otwarto „gabinety konsultacyjne" zaopatrzone w odpowiednią literaturę, w których stale dyżurują przedstawiciele katedr „ideologicznych i ekonomii politycznej".

Przez nudę podobnych wykładów muszą przejść nie tylko naukowcy i studiujący, lecz także inżynierowie, urzędnicy, majstrowie, wielu robotników i chłopów. Nikt nie uniknie słuchania złotych myśli proroka bolszewizmu i nikt się nie wykręci, że „przerobił je sam, prywatnie". W Sowietach już próbowano prywatnego przerabiania. Wykryto jednak, że nikt Stalina czytać nie chciał chociaż każdy kupił broszurę i po rozdzierającym szaty artykule „Prawdy" lokalne komitety partyjne musiały zorganizować zbiorową naukę połączoną z repetycjami. Dlatego zapewne satelicka partia Bieruta wolała od razu przystąpić do zorganizowanych nie indywidualnych studiów.

NOWI DYGNITARZE

Zabawne nieraz skutki ma tzw. krytyka w państwach komunistycznych. Nie jest ona zwyczajną, swobodną krytyką, ale wypominaniem różnym mniejszym i większym dygnitarzom partyjnym, że nie dość gorliwie wykonują zarządzenia i uchwały wyższych instancji. Okazuje się przy tym nieraz, że krytykowani uważają to za umowną zabawę i po prostu nie reagują. Czasem także obrażają się i protestują przeciw znieważaniu władzy.

Jedno z pism krajowych przyniosło ostatnio interesujące narzekania komunistycznej redakcji „Głosu Olsztyńskiego". Redaktorzy przejęci misją krytykowania powiatowych komitetów PZPR przeprowadzili w ciągu lata i jesieni wielką kampanię szukając dziur w postępowaniu ich prowincjonalnych towarzyszy. Ogłosili oni ostatnio, że od lipca atakowali już komitety powiatowe w Morągu, Lidzbarku, Ostrodzie i Kętrzynie. Niektórym z nich poświęcili po kilka artykułów.

Skutek był żaden. Władze powiatowe PZPR nie tylko, że nie zastosowały się do wskazówek wojewódzkiego organu partii, ale nawet nie odpowiedziały na stawiane im zarzuty. Redakcja „Głosu" wobec tego poszła na niezwykłe posunięcie: redaktorzy mianowicie zawiadamiali telefonicznie krytykowanych, że im poświęcają artykuł.

Najlepszą odpowiedź otrzymali po kilku telefonach w Morągu. Tu przyjechał bowiem specjalny wysłannik pisma i proponował miejscowym dygnitarzom, żeby mu udzielili jakiegoś wyjaśnienia w odpowiedzi na zarzuty. Powiedziano mu na to, że może nawet i miał rację w tym co napisano, ale nie powinien był pisać krytyki, gdyż „to podważa autorytet instytucji partyjnej".

Jak to trudno przeprowadzić jakieś zmiany na świecie. Zmienił się szyld, wszyscy uczą się nowych czy innych przepisów. Ale krytyka „podważa autorytet władzy." Wniosek jest prosty: w totalizmie nie ma i nie może być prawdziwej krytyki. Absolutyzm rządzenia uniemożliwia nawet formalną czy obrzędową krytykę. Władza komunistyczna jest tak widać ubrana w szaty nowego dygnitarstwa, że nie wolno jej w żadnej formie krytykować.

KOMITET BLOKOWY

Administracja lokalna pod reżimem komunistycznym jest tak zorganizowana, że pozornie zajmuje się dopomaganiem obywatelowi w załatwianiu jego drobnych zmartwień — w rzeczywistości jednak ma być dodatkową siecią szpiegostwa, uzupełniającą rzeczywistą tajną policję polityczną, handlową itd. Potwierdzeniem są drukowane od czasu do czasu w prasie komunistycznej wywiady z przedstawicielami „dobrze pracujących komitetów blokowych". Komitet taki, to instytucja obejmująca blok domów, pochodząca rzekomo z wyboru i powołana do pośredniczenia pomiędzy dzielnicową radą narodową a zamieszkałymi w obrębie bloku obywatelami. Śródmieście Warszawy posiada 100 komitetów blokowych, każdy z nich zaś obejmuje około 1.000 mieszkańców.

Co robi komitet? Komitet blokowy Nr 5 przy ul. Mokotowskiej 12 „załatwia na miejscu drobne sprawy, z poważniejszymi przychodzi do Dziel-

nicowej Rady Narodowej, kontroluje działalność administracji domów, kontroluje pracę dozorców domowych", pisze „Trybuna Ludu". Komitet Nr 114 prowadzi własną świetlicę, w której odbywają się zebrania, wiece, pogadanki przedwyborcze itp. Komitet przy ul. Noakowskiego zorganizował własne biuro opałowe. Komitet przy ul. Górnośląskiej 11 organizował mieszkańców do roznoszenia ulotek wyborczych itp. Członek komisji miejskiej przeprowadzającej nowy podział miasta na bloki, T. Mieczkowski, działacz PZPR tak scharakteryzował zadania komitetów blokowych: „Przed nowymi komitetami staje ważne zadanie walki ze spekulantami i z handlem łańcuszkowym. Komitety blokowe powinny się zajmować kontrolą pracy aparatu dystrybucyjnego".

W ten sposób komitet blokowy jest ważnym narzędziem polityki komunistycznej. Czuwa nad administracją domów i dzielnicy, interesuje się poglądami politycznymi mieszkańców, pilnuje aby nie zaopatrywali się w żywność na boku i aby nie handlowali. Węszy, czy obcy ludzie nie nocują w domach oraz czy nie odbywają się nieurzędowe zebrania. Niebezpieczne narzędzie tajnej policji, szkolące obywateli jak pracę administracyjną łączyć z donosicielstwem i terrorem.

KTO JEST KUŁAKIEM?

Komuniści wprowadzili w Polsce gwarowe rosyjskie słowo „kułak", oznaczające bogatego chłopa. Okazuje się w praktyce, że słowo to ukute zostało dla potępienia samodzielności chłopskiej. Dowodów jest dość dużo, wystarczy jedna korespondencja wiejska w „Trybunie Ludu" opisująca walkę przeciw kułakom w powiecie Brzesko w centralnej Małopolsce.

Przykładem ma być małorolny gospodarz ze wsi Doły w gminie Dębno, Władysław Pabian. Pabian miał 1.7 ha ziemi, należał więc w normalnym rozumieniu do bardzo biednych chłopów. To, że umiał znaleźć wyjście z kłopotów i uczciwie oraz samodzielnie zarabiał postawiło go widać na liście oskarżonych ułożonej przez centralny organ krajowej kompartii. Artykuł „Trybuny Ludu" wytykał mu bowiem, że: 1. przed wojną wyzyskiwał swych sąsiadów jako sklepikarz, 2. prowadził po wojnie handel spirytusem i utrzymywał się jako drobny restaurator, 3. prowadził ubocznie handel mięsem, 4. słuchał „Głosu Ameryki" i udostępniał jego audycje sąsiadom.

Te ciężkie przestępstwa spowodowały, że sąsiedzi „nie mieli do niego zaufania". Przeprowadzono więc u niego rewizję i skonfiskowano wszystkie towary oraz, wyraźnie tego nie napisano w gazecie, osadzono go w areszcie. Najazd milicji na jego dom odbył się w ramach kampanii wyborczej do „sejmu" po oskarżeniu Pabiana o kułactwo na wiecu zorganizowanym przez PZPR. O takich to właśnie kułakach prasa komunistyczna pisze bez przerwy, takich to kułaków zwalcza się stale przy pomocy milicji i Bezpieki.

Przy okazji wychodzi na jaw prawdziwa sytuacja polskiej wsi. Nie tylko tzw. zamożny chłop, ale po prostu każdy chłop jest naturalnym wrogiem reżimu. Sami komuniści muszą przyznać, że prędzej chłop pójdzie na pomysł sprzedawania mięsa z potajemnego uboju niż na przystąpienie do kołchozu. Mało tego, ten sam Pabian miał poważne wpływy wśród tych właśnie chłopów, którzy mu rzekomo nie ufali. Za jego bowiem namową gospodarze w Dołach przestali dostarczać kontygenty. Rewizja i aresztowanie Pabiana miały więc na celu także zastraszenie sąsiadów.

RADA CZERWONEJ KRÓLOWEJ

ROK 1952 nie pozostawi zapewne trwałych śladów w historii. U schyłku tego roku p. Churchill oświadczył w Izbie Gmin, że niebezpieczeństwo wojny światowej zmalało (the danger of world war has receded), lecz zapytany, dlaczego tak sądzi, odmówił wyjaśnień. Gen. Ridgway nie podzielił wprawdzie opinii brytyjskiego premiera, poparł ją za to prez. Truman, stwierdzając na konferencji prasowej, że widoki na pokój są obecnie lepsze niż przed 12 miesiącami (the prospects of world peace are better now than they were 12 months ago).

W oświadczeniu p. Churchilla można widzieć dążenie do zrzucenia z siebie niewygodnego miana „podżegacza wojennego", przypiętego mu przez socjalistów, oraz usprawiedliwienia obcięcia programu zbrojeniowego, uchwalonego przez tychże socjalistów; optymizm prez. Trumana można sobie tłumaczyć chęcią przedstawienia osiągnięć politycznych ośmiolecia w możliwie korzystnym świetle. W obu tych oświadczeniach jest jednak coś więcej. Są one refleksem dość powszechnych nastrojów i poglądów w świecie zachodnim, zwłaszcza w Europie. Świat ten zobojętniał na niebezpieczeństwo wojny i zaczął traktować je sceptycznie. Gdy wojska amerykańskie wylądowały na Korei, groźba rozszerzenia konfliktu poderwała Zachód do zbrojeń, lecz rozpłynęła się stopniowo w perypetiach niekończącej się wojny lokalnej. Nie ziściły się również nadzieje na znormalizowanie stosunków ze światem sowieckim. Nastąpiło to, co zwykle się dzieje w sytuacjach, z których nie ma oczywistego wyjścia: zaczął się proces przystosowania. Skoro zimna wojna ma trwać czas nieograniczony, trzeba się z tym pogodzić i urządzić się w tych niekorzystnych warunkach jak najwygodniej. W toczącej się od dwóch lat walce między ministrami finansów a dowódcami wojskowymi ci pierwsi wzięli górę: standard of living stał się ważniejszy od liczby dywizji i samolotów. Tradycyjne tendencje separacji narodowej zaczęły przeważać nad ideą jedności. Przestano mówić o trzeciej sile, lecz siła ta rośnie, choć pozbawiona form organizacyjnych: objawami jej są neutralizm i antyamerykanizm. Wolę walki ze złem zastępuje rezygnacja, ubrana w szatę sztucznego optymizmu. Lata 1950 i 1951 były latami zrywu, rok 1952 stał się początkiem reakcji. Zmęczony Zachód chce stworzyć sobie normalne warunki życia na dymiącym wulkanie, ufając, że wulkan może w końcu wygaśnie.

Są to objawy procesu myślowego, określanego przez Anglików jako "wishful thinking".

ZAWODNY OPTYMIZM

Do upowszechnienia się tych nastrojów przyczyniły się ostatnie posunięcia Moskwy. Wysnuto z nich wniosek, że Stalin, rezygnując na razie z dążeń do rozszerzenia swego imperium, zamierza poświęcić główną uwagę zagadnieniu jego konsolidacji. Sądzi się zatem, że poprzestanie on na uprawianiu nadal polityki rozsadzania paktu atlantyckiego, zmierzającej przede wszystkim do izolacji Stanów Zjedno-

czonych. Polityka ta okazała się, jak dotąd, niezbyt skuteczna i w jej dalszą skuteczność nie bardzo się wierzy. Nie oczekuje się wprawdzie zwolnienia nacisku sowieckiego w Azji, lecz tam problemem centralnym są Chiny. Istnieją, zdaniem dyplomacji zachodniej, poważne rozdźwięki ideologiczne oraz różnice polityczne między Rosją Sowiecką a Chinami. Umiejętne pogłębianie tych rozdźwięków może sprowadzić problem Dalekiego Wschodu do właściwych rozmiarów. Dotychczasowa polityka amerykańska uniemożliwiała Mao-Tse-tungowi oderwanie się od Rosji; możliwość taka powstanie, gdy polityka ta się zmieni i gdy komunistyczne Chiny zaczną przemawiać na arenie światowej nie ustami p. Wyszyńskiego, lecz własnym głosem.

Nadzieje na potencjalny titoizm Mao-Tse-tunga są nadal żywe, zwłaszcza w sferach brytyjskich; być może, że p. Churchill, który udał się właśnie do Ameryki, będzie się starał przekonać gen. Eisenhowera o konieczności takiego volte face. Nie ma jednak żadnej pewności, że uznanie przez Stany Zjednoczone komunistycznego rządu Chin przyniosłoby pożądane skutki; Wielkiej Brytanii nie dało ono nic, prócz upokorzeń.

Potwierdzeniem przytoczonych poglądów na intencje polityki sowieckiej stał się przebieg XIX kongresu partii komunistycznej w Moskwie. Tezę Stalina, że wojny między państwami kapitalistycznymi są bardziej prawdopodobne niż starcie tych państw ze Związkiem Sowieckim, przyjęto z westchnieniem ulgi. Odsuwa ona możliwość konfliktu, którego Zachód się obawia, na rzecz konfliktów, w które nikt nie wierzy. Pokojowe oferty Malenkowa uznano za dowód poszukiwania rozejmu w zimnej wojnie. Końcowe przemówienie Stalina przekreśliło wprawdzie te oferty, lecz nie dojrzano w nim niczego więcej prócz zapowiedzi, że wojna ta będzie nadal trwała. Wywiad Stalina, udzielony przedstawicielowi "New York Timesa", pogłębił zamęt w opinii, domagającej się, jak zwykle, zbadania właściwych intencji dyktatora sowieckiego. Badania te przynosiły w przeszłości same rozczarowania, lecz historia powtarza się za każdym razem da capo.

Paradoksalnym skutkiem tych ocen polityki sowieckiej stał się pewien sukces przypisywanych jej tendencji. Wiązadła paktu atlantyckiego, spojone groźbą agresji komunistycznej, zaczęły trzeszczeć, gdy groźba ta w oczach uczestników paktu zmalała. Na grudniowym posiedzeniu Rady Atlantyckiej uznano za konieczne poddać lizboński program zbrojeniowy rewizji. Wstępem do tej rewizji stało się obcięcie o połowę sum, przeznaczonych na inwestycje wojskowe. Program powiększenia liczby dywizji w Europie zastąpiono zasadą polepszenia ich jakości. Francja zapowiada poważne obcięcie budżetu wojskowego. Rozdźwięki między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią i Francją w sprawie Korei, Chin, Persji, Egiptu i posiadłości francuskich w Afryce północnej raczej się pogłębiły. Projekt armii europejskiej jest dalszy od realizacji niż kiedykolwiek.

Z tym wszystkim zapomniano, że celem sowieckich deklaracji politycznych nie jest bynajmniej ujawnianie rzeczywistych zamierzeń Kremla. Deklaracje te przeznaczone są na użytek propagandy wewnętrznej lub zewnętrznej; zawierają one tylko to, co Kreml chce, wzorem wyroczni delfickiej, podać do wiary własnemu społeczeństwu lub opinii publicznej Zachodu. Dla właściwej oceny sytuacji międzynarodowej lepiej się oprzeć na faktach niż na oświadczeniach. Fakty zaś mówią co innego.

FAKTY

1. Związek Sowiecki nie tylko nie zwalnia tempa swych zbrojeń, lecz je przyspiesza; przekraczają one o wiele potrzeby obronne Związku. W r. 1949 budżet wojskowy sowiecki wynosił 79.000 miln rubli, w r. 1951 — już 96.000 miln rubli, w r. 1952 — 114.000 miln rubli. W r. 1942, to znaczy w okresie największego natężenia wojny, budżet ten wynosił 103.000 miln rubli. Cyfry te obejmują tylko kredyty wojskowe, nie dotyczą wydatków na inwestycje wojenne, budowę floty i lotnictwa, badania atomowe itp. Wydatki te są ukryte w innych pozycjach budżetu. Według oświadczenia gen. Ridgwaya, Związek Sowiecki produkuje 5 razy więcej samolotów niż Ameryka.

2. W parze ze zbrojeniami sowieckimi idą zbrojenia satelitów. Wydatki wojskowe Bułgarii wzrosły z 13.000 miln lew w r. 1950 do 40.000 miln lew w r. 1952, Polski — 2.500 miln złotych do 6.600 miln złotych. Ogółem wydatki wojskowe satelitów wzrosły o 600 — 700% w porównaniu do r. 1948. Związek Sowiecki i satelici przeznaczają na cele wojskowe 40 — 50% swych budżetów, około 1/3 dochodu narodowego. Państwa te wprowadziły powszechne szkolenie wojskowe młodzieży, korzystają z taniej produkcji, a obsługa administracyjna ich jednostek wojskowych jest znacznie szczuplejsza niż na Zachodzie.

3. W Niemczech wschodnich istnieje dobrze wyposażona armia niemiecka, licząca 120.000 ludzi.

4. Najważniejsze problemy polityczne, kryjące w sobie zarzewie nowej wojny, jak problem Niemiec, Korei, Środkowego i Dalekiego Wschodu, zostają nadal nie załatwione. Wydarzenia r. 1952 położyły, jak się zdaje, kres ostateczny nadziejom na załatwienie sprawy niemieckiej. Sytuacja w Berlinie się zaostrza. Afryka stała się ostatnio nowym czynnikiem światowego zamętu.

5. Wewnątrz imperium sowieckiego zachodzą niepokojące zjawiska, przypominające r. 1937 w Rosji, gdy Stalin musiał się już liczyć z groźbą wybuchu wojny. U podłoża procesów pokazowych tego okresu leżała decyzja usunięcia z partii elementów, do których, bez względu na ich oddanie sprawie rewolucji i zasługi w przeszłości, dyktator sowiecki nie miał zaufania. Ta metoda eliminacji zaczyna obecnie działać w państwach satelickich. W procesie Slanskiego i tow. większość oskarżonych, podobnie jak w procesach r. 1937, stanowili Żydzi. Żyd w oczach rosyjskiego komunisty jest z natury swej kosmopolitą, kosmopolityzm zaś stanowi ciężkie wykroczenie przeciw doktrynie stalinizmu. W stosunku do Żyda-syjonisty odpada zarzut kosmopolityzmu, lecz obciąża go inny, może poważniejszy: zarzut rozdwojenia lojalności. Ludzie na Kremlu podejrzewają, że dygnitarz partyjny, sympatyzujący ze syjonizmem, jest w większej mierze rzecznikiem interesów nowej kolonii amerykańskiej, za jaką propaganda sowiecka uważa państwo Izraela, niż interesów stalinizmu.

Rozcinają oni swe wątpliwości, posyłając delikwenta na szubienicę. Przygotowania do procesu Anny Pauker są w toku; Eisler został usunięty ze stanowiska wschodnio-niemieckiego szefa propagandy; potem przyjdzie kolej na innych, syjonistów lub tylko kosmopolitów. Antysemityzm sowiecki nie ma jednak w sobie hitlerowskiego podłoża rasowego: jest to antysemityzm polityczny.

Czystki w państwach satelickich obejmują nie tylko Żydów; partia tępi niepewne elementy bez względu na narodowość. Po Czechosłowacji przyszła kolej na Niemcy wschodnie. Oba państwa stanowią najdalej wysunięte na zachód placówki sowieckie i najbardziej są narażone na kontakty z agentami imperializmu.

6. Propaganda antyamerykańska nie tylko nie słabnie w Związku Sowieckim, lecz przybiera na sile. Jest to propaganda nienawiści, namiętna i brutalna, graniczącą nieraz ze śmiesznością, lecz w warunkach izolacji świata sowieckiego zapewne skuteczna.

Przykłady te można by mnożyć. Wskazują one nie tylko na intencje kierowników polityki sowieckiej, które stara się odgadnąć dyplomacja Zachodu, lecz również na ich możliwości. „Rosjanie — jak mówi jeden z publicystów amerykańskich — mają poczucie możliwości, którego brakowało Niemcom. Jeżeli natrafią na zamknięte drzwi, nie będą rozbijali ich własnymi głowami. Zatrzymają się i spróbują czegoś innego, np. będą się starali wysadzić zamek lub wejść przez okno." Spostrzeżenie może słuszne, lecz Europa zachodnia nie stanowi zamkniętych drzwi. Według gen. Juin armie sowieckie mogłyby zająć Paryż w ciągu 23 dni.

POWRÓT AMERYKI

Ta niepokojąca sytuacja powstała w dużej mierze wskutek faktycznej bezczynności Stanów Zjednoczonych w roku ubiegłym, wywołanej nie tylko okresem wyborczym, lecz również utknięciem koncepcji politycznych Truman—Acheson w ślepym zaułku. Polityka powstrzymywania naporu sowieckiego (containment) od dawna już zdradzała objawy bankructwa. W okresie jej trwania nastąpił czechosłowacki coup d'état, Chiny weszły w orbitę sowiecką, wybuchła beznadziejna wojna koreańska i wzmogło się zagrożenie południowo-wschodniej Azji. Nie zdołała ona zbudować barier hamujących postępy komunizmu ani rozwiązać żadnego z problemów, przed jakimi stanął Zachód po drugiej wojnie światowej.

Bezczynność Ameryki dobiega jednak końca. Przychodzi nowy rząd, a z nim zapowiedź nowej polityki, ochrzczonej mianem polityki wyzwolenia (liberation). Na czym ma polegać polityka wyzwolenia? Trudno o tym sądzić w chwili, gdy nowy rząd gotuje się dopiero do objęcia władzy. Można jednak przedstawić poglądy na tę sprawę przyszłego amerykańskiego sekretarza stanu, p. Foster Dullesa, w granicach jego oświadczeń i komentarzy pism amerykańskich.

1. P. Dulles uważa, że gdyby Rosji udało się skonsolidować swoje imperium, miałaby ona drogę otwartą do panowania nad światem. Oznaczałoby to przegranie przez Zachód zimnej wojny i nieuchronność drugiej wojny światowej.

2. W państwach satelickich istnieje, zdaniem p. Dullesa, stan poważnego naprężenia. Stan ten należy podsycać wszelkimi możliwymi środkami, lecz nie przez wywoływanie zbrojnych powstań, gdyż te prowadziłyby tylko do bezcelowego przelewu krwi. „Rewolta zbrojna byłaby daremna, więcej nawet niż daremna, bo przyspieszyłaby rzeź." W razie zawarcia ze Związkiem Sowieckim układu, opartego na zasadach status quo, napięcie w krajach satelickich musiałoby zmaleć, o układzie takim nie może być zatem mowy. Słuszności tej ostatniej tezy nikt chyba nie będzie kwestionował.

3. Jedyną rzeczą stałą w historii są zmiany. Z biegiem czasu mogą nastąpić zmiany również i w imperium sowieckim. Trudno np. przewidzieć, jakie konsekwencje miałaby dla tego imperium śmierć Stalina. Trzeba być przygotowanym na te zmiany i umieć je odpowiednio wykorzystać. Gdyby przed którymkolwiek z państw satelickich otwarła się możliwość zerwania lub rozluźnienia węzłów, łączących je ze Związkiem Sowieckim, Zachód powinien państwa te poprzeć.

4. Przyczyną fermentów w Azji są niezdrowe ustroje społeczne, które można uzdrowić tylko przy pomocy planowania na długą metę. Musi powstać organ takiego planowania; zapobiegnie on dorywczym i nieprzemyślanym reakcjom na każdy nowy kryzys.

NIE PROGRAM LECZ IDEA

Jak z powyższej analizy wynika, podstawowym założeniem p. Dullesa jest heraklitowska zasada: „panta rhei". Wszystko się zmienia na świecie, może się zatem coś zmienić i w Rosji. Oczekiwanie jednak na zmiany, powodujące automatyczne osłabienie przeciwnika, jest wstawieniem do programu politycznego wielkiej niewiadomej i rezygnacją z polityki czynnej na określony przeciąg czasu. Koncepcja taka zbliża bardzo politykę wyzwolenia do polityki powstrzymywania; istnieje jednak pewna zasadnicza różnica. Containment była wykończoną i skamieniałą koncepcją polityczną, przeradzającą się z upływem czasu w anachronizm. Program p. Dullesa jest w swej istocie niedonoszonym jeszcze płodem, poszukiwaniem nowej polityki. Nie jest to nawet program, lecz dynamiczna, choć nie znajdująca na razie oddźwięku w świecie, idea. Mija zwykle pewien czas, zanim hasło, idea polityczna wejdzie w świadomość mas i nabierze kształtów konkretnych. Dziś trzeba uznać samo rzucenie tego hasła za krok naprzód w polityce amerykańskiej.

Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że nowy rząd Stanów Zjednoczonych może, w poszukiwaniu nowych koncepcji politycznych, zejść na manowce. Gen. Eisenhower zobowiązał się do redukcji opracowanego przez prez. Trumana projektu budżetu; w jego rządzie przeważają przedstawiciele wielkiego businessu. Ludzie, którzy potrafili się wybić na czołowe miejsce w gigantycznej organizacji przemysłu amerykańskiego, mogą mieć kwalifikacje niezbędne do kierowania państwem; wkładem ich jest świeżość umysłu, nieobciążonego rutyną zawodowych polityków. Zachodzi jednak obawa, że będą oni forytowali interesy wielkiego kapitału, zaostrzając przez to fermenty i że zagadnieniom gospodarczym oddadzą pierwszeństwo przed interesami obrony. To ostatnie byłoby po myśli europejskiej klienteli Ameryki, lecz mogłoby się okazać w skutkach krótkowzroczne. Może jednak sam Prezydent — człowiek o prze-

szłości wojskowej — stanie się czynnikiem równowagi.

Wolny świat potrzebuje inspiracji i kierownictwa, których polityka Truman — Acheson zapewnić mu nie zdołała. Polityka ta przywodzi na pamięć pewien epizod z Alicji w krainie czarów. Alicja biegnie z wszystkich sił wespół z Czerwoną Królową, lecz widzi, że krajobraz wokół niej się nie zmienia. „Jesteśmy wciąż pod tym samym drzewem" — mówi zdziwiona. „Czegoś chciała — wyjaśnia jej Królowa — w naszym kraju aby zabiec dokądkolwiek, trzeba by biec przynajmniej dwa razy szybciej." Może gen. Eisenhower weźmie pod uwagę to zalecenie Czerwonej Królowej.

Glossator

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LISTY O LUDZIACH 22)

CZCICIELE SŁOŃCA

Bibliopolis, styczeń 53

Drogi Czytelniku,

Pamiętasz pewnie, jeśli nie z filmu albo książki, to chociaż z gazet wyprawę „Kon-Tiki", przejazd pięciu Skandynawów tratwą przez jeden z najszerszych przestworów Oceanu, z Peru na wyspy Polinezji. Nie wiem natomiast, czy zastanawiałeś się nad naukowymi konsekwencjami tej wyprawy. Organizator jej, Thor Heyerdahl nie jest ani marynarzem ani sportowcem ale uczonym. Specjalnym typem uczonego, trzeba dodać. Był on dwa razy w czasie wojny zrzucany na spadochronie na okupowaną przez Niemców Norwegię, organizował na dalekiej północy kraju ośrodek partyzancki. Przed wojną zjeździł pół świata. Ciekawsza jednak od jego kariery życiowej jest jego kariera naukowa. Z wykształcenia przyrodnik badał faunę wysp Oceanu Spokojnego. Siedząc na jednej z wysp wschodniej Polinezji zainteresował się folklorem. Tradycyjne opowieści starców zwróciły jego zainteresowania ku historii ludów polinezyjskich, ta kazała mu się zająć archeologią, co znów doprowadziło do zainteresowań prehistorią nie tylko Polinezji ale także Ameryki, a dodatkowo oceanografią. Pochłonęło go to do tego stopnia, że powróciwszy do Oslo zrezygnował z kariery zoologa i zabrał się do studiów prehistorii, historii i socjologii. Wojna przerwała te studia, ale po wyzwoleniu Norwegii, powrócił do nich natychmiast i następne parę lat spędził głównie w muzeach amerykańskich. Tam, zestawiając swoje badania własne nad przyrodą, folklorem i architekturą Polinezji z badaniami przyrodników i prehistoryków Oceanii i Ameryki, zbudował swoją wielką teorię historyczną, którą później wyłożył w pracy „Południowo-amerykańskie pochodzenie Polinezyjczyków".

Badania zoologiczne prowadzą do niewątpliwego wniosku, że wyspy Polinezji nie stanowiły nigdy wspólnego lądu, że fauna na każdej z nich rozwijała się niezależnie. Ludność tych wysp mówi dialektami jednego języka, dialektami, które nie mogły się zróżnicować zbyt dawno. Ludność ta rasowo jest zupełnie odrębna od swoich czarnych sąsiadów z Melanezji i Australii. Rozsiana ona jest na olbrzymiej przestrzeni Oceanu od Hawajów po Nową Zelandię. Na każdej wyspie polinezyjskiej przechowywana jest ustnie z pokolenia na pokolenie długa lista genealogiczna w rodzaju tej, która otwiera Ewangelię św. Mateusza. Listy te zgadzają się co do wcześniejszych pokoleń na wszystkich wyspach i prowadzą do legendarnego Tiki, syna słońca, który musiałby żyć wedle tej tradycyjnej a zgodnej genealogii w V—VI wiekach naszej ery. Miał on przybyć ze wschodu ze swymi towarzyszami, mieli oni białą skórę, długie uszy i czerwone włosy.

Na wyspach polinezyjskich powtarza się wśród panującego brunatnoskórego typu typ człowieka bardzo jasnego, o włosach niemal blond lub rudych. Kiedy pierwsi żeglarze europejscy przybyli na Wyspę Wielkanocną, najdalej na południowy - wschód wysuniętą forpocztę Oceanii, zastali tam dwa rodzaje ludzi, z których jedni byli jasnoskórzy i miedzianowłosi. Mówili oni, że pochodzą od ludzi z długimi uszami i że są właściwymi panami tej wyspy.

Otóż właśnie: Wyspa Wielkanocna... Jedna z najbardziej fascynujących zagadek historii, bardziej jeszcze fascynująca niż angielskie Stonehenge. Do Stonehenge jeszcze powrócę. Wyspa Wielkanocna, dziś prawie bezludna, zaludniona jest olbrzymimi posągami. Kto je stawiał i przy pomocy jakiej techniki z ciosanych kilkudziesięciometrowych głazów? — Opuszczone od wieków kamieniołomy znajdują się w głębi wyspy a w nich przerwane niegdyś roboty nad budową gigantycznych posągów. Tysiące ludzi musiało brać udział w tej pracy. Posągi te mają wyciągnięte ku ramionom konchy uszne a na głowach jakby peruki z innego, czerwonego kamienia. Głazy poustawiane są w kręgi, jak w Stonehenge, posągi patrzą twarzą na wschód, na Ocean, za którym leży Południowa Ameryka.

Po innych wyspach Polinezji znajdują się podobne, ale już mniej gigantyczne i mniej liczne posągi, wyraźne kopie tamtych. Znajdują się także menhiry i piramidy kamienne. Dzisiejsza ludność nie umiałaby nic takiego wznieść. Tradycja Maorysów nowozelandzkich mówi, że przybyli oni z Tahiti. Tradycje innych wysp prowadzą wszystkie do najbardziej wschodnich archipelagów. Wszystkie są związane z kultem słońca. Na Oceanie Spokojnym na południe od równika cały niemal rok wieje wiatr ze wschodu na zachód, wiatr wywołany ruchem obrotowym ziemi. Od podnóża Andów przez Ocean płynie potężny prąd wodny na zachód, opływa wschodnie archipelagi Polinezji, sięga aż po Nową Zelandię.

Polinezyjczycy posiadają szczątki wiedzy astronomicznej wysokiej klasy. Pływali do niedawna po olbrzymich przestrzeniach Pacyfiku, trafiając do najodleglejszych wysp bez błędu i pomyłki tylko wedle gwiazd, posuwając się ruchem konika szachowego, pod kątami prostymi.

Jedną z podstaw pożywienia na wyspach Polinezji jest palma kokosowa, która nie rozmnaża się bez pomocy człowieka, musi być sadzona a pochodzi z wysp u zachodniego wybrzeża Południowej Ameryki.

W Południowej Ameryce u wybrzeży zachodnich, tam skąd płynie wielki prąd zachodni i skąd wieją wiatry przez prawie cały rok, stoją posągi kamienne pozostawione przez nieznany lud, starszy od Majów, dziwnie podobne do posągów na wyspach polinezyjskich: ta sama technika, te same czerwone kamienne peruki, ta sama wysoka cywilizacja neolityczna nie znająca narzędzi metalowych. I ten sam wyraźny kult słońca. Tradycją peruwiańskich Inków było, że te pomniki zbudowali ludzie, którzy nauczyli budować szczepy amerykańskie, że to byli ludzie biali o długich uszach i że w dawnych wiekach odpłynęli na zachód.

Wreszcie Heyerdahl znalazł klucz. Zapisana jest tradycja Inków o wielkiej ich bitwie w peruwiańskich Andach, w której pokonali owych starożytnych białych, których władcą był arcykapłan słońca Kon-Tiki lub Illa-Tiki. Pokonani wycofali się na wybrzeże a następnie odpłynęli na zachód.

Heyerdahl usiłował zainteresować swoją teorią świat naukowy. „Niech pan się trzyma swojej specjalności" — odpowiadano mu. „Prehistoria nie jest pańską specjalnością a przy tym prehistoria Oceanii to co innego a prehistoria Ameryki, zupełnie co innego."

(Taka to jest nasza współczesna nauka, w której humanizm ginie pod ciosami specjalizacji.) Wreszcie, gdy przyparł do muru swymi argumentami jedną z najwiekszych sław archeologii amerykańskiej, uczony ten powiedział mu: „Choćby pańska teoria wyglądała najbardziej prawdopodobnie, kładzie ją zupełnie jeden fakt: pierwotni mieszkańcy Ameryki nie znali łodzi". „Ale znali tratwy żaglowe." „To niech pan przepłynie tratwą przez Pacyfik" — odparł profesor.

Są dokładne rysunki tratw, jakimi posługiwali się Inkowie jeszcze długo po przybyciu Hiszpanów. Heyerdahl znalazł towarzyszy, przeważnie z dawnego ruchu podziemnego norweskiego, zbudował tratwę ściśle wedle wzoru indiańskiego i wbrew przepowiedniom marynarzy, że musi zatonąć w trzy miesiące wylądował w Polinezji.

To, że wyprawa jego ma wielkie znaczenie dla zoologii, dla poznania fauny oceanicznej, że znalazł nowe gatunki ryb i latające ośmiornice, to zostawmy na boku. Wyprawa Kon-Tiki ma większe znaczenie dla historii. Nie chodzi o to, że zmienia ona zasadniczo nasz obraz prehistorycznych migracji. Wyjaśnia, jak budowniczowie Stonehenge sprowadzali bloki kamienne z zachodnich wybrzeży Anglii na równinę Salisbury i skąd się wziął fenomen cywilizacji Majów, a może także dlaczego po chińsku Ameryka nazywa się krainą Mai. Ba, zabija ostatecznie zeszłowieczna teorię form rozwojowych społeczeństwa ludzkiego, wyznacza dekadencji cywilizacyjnej miejsce niemal równorzędne obok rozwoju cywilizacji.

Zacznijmy od Ameryki. Prehistorycy amerykańscy przyjęli jako oczywiste założenie, że najstarsze znane cywilizacje amerykańskie są rodzime. To założenie stawiało ich przed nierozwiązalnymi zagadkami. Im bowiem głębiej schodzi się w przeszłość (i w ziemię), tym wyższe odkrywa się formy cywilizacyjne. Wykopaliska w Kalifornii i Brytyjskiej Kolumbii ujawniają cywilizację wyższą od tej, jaką mieli Indianie północno-amerykańscy w chwili przybycia Europejczyków. Cywilizacja meksykańskich Azteków i peruwiańskich Inków pasożytowała na starszej i wyższej cywilizacji Majów. Im starsze pomniki Majów, tym wspanialsze. Cywilizacje amerykańskie mają wspólne źródło w Środkowej Ameryce, na wschodnim wybrzeżu między południowym Meksykiem a Gwatemalą. Ta pierwotna cywilizacja wytryska nagle z tropikalnego gruntu, bez śladów rozwoju i bez poprzedników. Jest to cywilizacja czcicieli słońca, budowniczych megalitów, którzy nie znając użytku metalu z ciosanych głazów budowali piramidy, gościńce, kręgi megalitów i posągi.

Ludność indiańska jest pochodzenia syberyjskiego. Przez dziesiątki tysięcy lat, pewnie od czasów, gdy jeszcze na Kamczatce pasły się mamuty, przesiąkała ona do Ameryki drogą północną przez Cieśninę Behringa, tą drogą, którą przed dwoma wiekami pojawiła się Rosja w Ameryce Północnej: na Alasce, w dzisiejszej Kolumbii Brytyjskiej, a nawet na dzisiejszym terytorium Stanów północno-zachodnich. Natomiast cywilizacja pojawiła się z drugiej strony, od Atlantyku, tam gdzie miał później lądować Kolumb, u wybrzeży Zatoki Meksykańskiej, skąd wypływa Golfstrom i gdzie wpływa chłodny prąd od Wysp Kanaryjskich.

To zastanawiające zjawisko nie mogło ujść uwagi wszystkich badaczy. Jest cała szkoła, angielska, wyklinana przez Amerykanów — Fergusson, G. E. Smith, W. J. Perry, która broni teorii jedności cywilizacji megalitycznej. Perry napisał nawet wielką rozmiarami książkę „Dzieci słońca", w której stara się odtworzyć genezę i drogi tego, co nazywa Cywilizacją Archaiczną. Widzi on jej początek na Środkowym Wschodzie, w Egipcie i Sumerze. Tu Ci od razu powiem, że im więcej nauka wie o cywilizacjach starożytnego wschodu, tym bardziej uwalnia się od przesądu o izolacji tych cywilizacji. Babilon i Assyr wywodzą się wprost z cywilizacji sumeryjskiej, a przeddynastyczny Egipt i Sumer mają bardzo wiele wspólnego. Perry uważa, że pierwsza cywilizacja „wytwórców żywności" czyli rolników (w przeciwstawieniu do „zbieraczy żywności") powstała w deltach Nilu i Eufratu i że tam tylko miała warunki powstania, na żyznej a ograniczonej pustyniami przestrzeni, gdzie konieczny był wspólny, zorganizowany i stały wysiłek. Odpowiada to także tezie Toynbeego o cywilizacji powstającej jako odzew na wyzwanie natury. Cywilizacja rolnicza w deltach tych rzek prowadziła do powstania dwóch nauk: hydrauliki i astronomii. Nawodnienie stało się warunkiem utrzymania wzrastającej ludności. Zbiory zależą od zjawisk atmosferycznych. Powstaje kult sił przyrody: słońca, księżyca, wiatru. Na górnych tarasach wież Sumeru, podobnie jak na tarasach ściętych piramid Jukatanu, nie tylko oddawano cześć ciałom niebieskim ale i badano ich drogi. W Sumerze powstała astronomia. Kult sił przyrody w cywilizacji rolniczej prowadzić musi nieodparcie do kultu słońca. Perry przeocza zadziwiający przypadek, jeśli to jest przypadek, że bóg słońca w Polinezji nazywa się Ra, tak samo jak w Egipcie. Kto wie, czy faraon, znany nam pod imieniem Tutankhamona, obalając współczesne kulty i stawiając w ich miejsce słoneczny monoteizm Ammona-Ra, nie przywracał tylko dawnej religii.

Perry widzi, że cywilizacja kultu słońca i budowli megalitycznych rozprzestrzenia się wzdłuż wybrzeży morskich. Poprzez Morze Śródziemne dociera ona do wybrzeży Atlantyku, posuwa się przez Portugalię, Hiszpanię, Francję, stamtąd przez Anglię, Walię, Irlandię, Szkocję i przez Danię do południowej Szwecji, a zawsze blisko zachodnich wybrzeży. Z drugiej strony znajduje się jej pomniki u wschodnich wybrzeży Indii, w Indochinach, Indonezji, Melanezji, Polinezji, w Ameryce. Perry z tego wnioskuje, że jedna jej, starsza i słabsza gałąź poszła nad Atlantyk, a druga, zasadnicza, przez Zatokę Perską, Indie, Oceanię aż do Ameryki. Ale tu wyłania się zasadnicza trudność. Nad Zatoką Perską nie znaleziono megalitów; w Indiach są one na południowym-wschodzie i są najmniejsze, najbardziej zdegenerowane, najpóźniejsze; im dalej na wschód, poprzez Indonezję do Ameryki, tym są większe i wszechstronniejsze. Aż dziw bierze, że badacz religii pierwotnych z Manchesteru nie zastanowił się nad tym, że czciciele słońca powinni byli iść za Gwiazdą Dzienną, jak Magowie szli za Gwiazdą Betlejemską, a nie w przeciwnym kierunku.

Czyż nie jest logiczniejszy i zgodniejszy z faktami inny obraz? Gdzieś ze wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego szła ta cywilizacja żeglarzy i astronomów na swoich olbrzymich tratwach za słońcem, wzdłuż brzegów. Jakaś jej gałąź trzymała się lądu i posuwała aż do Skandynawii, inna, potężniejsza, popłynęła za słońcem zachodnim prądem kanaryjskim, drogą północnych passatów, prądem antylskim do Zatoki Meksykańskiej. Tam powstała wielka neolityczna cywilizacja środkowo-amerykańska. Z tej cywilizacji był Tiki i jego lud, z peruwiańskich kresów poszli za słońcem do Polinezji. Może jakieś późniejsze kręgi polinezyjskie sięgnęły, z wyspy do wyspy, omijając poza pradami leżącą Australię (Cook parę razy opływał Australię, nie podejrzewając, że kręci się dokoła wielkiego lądu), na Malaje, a stamtąd do Indii od wschodu. Ale tu mówię niepewnie, bo nie znam chronologii zabytków malajskich i indyjskich i nie wiem, czy są starsze od polinezyjskich.

Możesz powiedzieć, że fantazjuję. Musisz jednak przyznać, że fantazje te są logiczne. I o wiele bardziej prawdopodobne niż dowodzenie, że w kilku punktach globu w różnym czasie powstawały niezależnie od siebie uderzająco podobne cywilizacje, przy czym tylko w jednym punkcie globu da się uzasadnić ich powstanie szczególnymi warunkami.

Jeżeli będziesz miał sposobność, zobacz Stonehenge. Te olbrzymie głazy wydźwignięte na siebie i sprowadzone z okolic odległych o setki mil, ustawione w figurę niepełnego koła na kształt obiegu słońca po ziemi, bez żadnego celu użytkowego powiedzą Ci jaką siłą olbrzymią w życiu człowieka jest religia. Raz, i tylko raz do roku, w czasie letniego przesilenia słonecznego o wschodzie słońca równo w połowie powierzchnie stojącego w samym środku kręgu bloku kamiennego przecina cień padający od głazu ustawionego samot-

nie poza kręgiem jak wielka wskazówka słonecznego zegara. Dokoła kręgu megalitów znajdowały się groby ludzi: szkielety w pozycji klęczącej twarzą na wschód z dłońmi zasłaniającymi oczy. Kiedy się znajdziesz sam w środku Stonehenge, zrozumiesz lepiej niż z tego listu, że ludzie, którzy bez metalowych narzędzi i bez środków pędnych wznieśli tę budowlę kultu, zdolni byli opłynąć na tratwach za słońcem kulę ziemską.

Tratwa Heyderdahla tłumaczy nam także główną przyczynę dekadencji tej cywilizacji archaicznej. Wędrówka ludów po lądzie obejmuje tysiące a nawet może setki tysięcy ludzi i odbywa się stopniowo. Wędrówka ludu przez Oceany na tratwach obejmuje grupy stosunkowo nieliczne, odbywa się wielkimi skokami i bardzo rzadko. Czciciele słońca zastali w Ameryce ludy nieskończenie od nich prymitywniejsze i innej zupełnie rasy. Oddzielili się od nich murem kastowym. Byli zbyt nieliczni, by ich wytępić, jak to później mieli zrobić Anglicy w Północnej Ameryce. Gdy tubylcy dość dużo nauczyli się cywilizacji megalitycznej, nieliczni czciciele słońca musieli ustępować lub ginąć. Wreszcie rozpłynęli się w różnokolorowej masie. Pozostała po nich tradycja, nieco typu antropologicznego tu i owdzie, dużo wierzeń. Tradycja była tak silna, że kiedy Kolumb pojawił się na Antyllach, witano go z zabobonną czcią jako białego pana, którego powrotu wciąż oczekiwano. Łatwość z jaką Hiszpanie podbili większą część Ameryki tłumaczy się w części pamięcią władztwa ich poprzedników zza Atlantyku, którzy pozostawili po sobie wspomnienie nadprzyrodzoności. Z ich cywilizacji zachowało się bowiem w Ameryce tyle, ile by zostało w Europie z Rzymu, gdyby nie było chrześcijaństwa. Dwór Montezumy tak się miał do dworu Kon-Tiki jak dwór Karola Wielkiego do dworu Augusta.

Czy nie było jakichś ruchów powrotnych — nie wiem. Wrócić tratwą z Ameryki można tylko Golfstromem, a więc nie do Gibraltaru lecz do północno-zachodniej Europy. Czy tradycja Atlantydy nie tu ma swoje źródło?

Wielkim złudzeniem ostatnich wieków, złudzeniem, za które płacimy obłędem doktryny komunistycznej, było wstawianie w miejsce zapomnianej historii — zoologii, to jest praw, które, jak sądzimy, rządzą rozwojem gatunków zwierzęcych. Antropologia, socjologia, prehistoria, to są tylko słowa. Rzeczywistością człowieka jest historia. Niepowtarzalna i jedyna jak życie ludzkie. Rządzona prawami natury ludzkiej a nie przyrody zewnętrznej. Zależna od Kon-Tikich, Kolumbów i Mojżeszów.

Perry twierdzi, że jedną z przyczyn migracji czcicieli słońca było poszukiwanie złota, które uważali za minerał magiczny ze słońcem związany, dający długowieczność i potęgę. Czytając, co napisałem Ci o sile religii i o naturze ludzkiej, może pomyślałeś, że jednak natura ta bardzo się zmieniła i że dziś decydują czynniki materialne i racjonalne. Dziś też ludzie szukają złota, ale dla innych motywów. Czy dla tak zupełnie innych? Czy szukają złota, by mieć materiał na plomby i niektóre narzędzia? Nie, szukają by przy jego magicznej sile zdobyć długowieczność i potęgę. Czy Kolumb popłynął na zachód w poszukiwaniu surowców? Czy Pielgrzymi z Mayflower szukali za Oceanem żyźniejszej ziemi? Czy Polacy od kilku lat płyną za Atlantyk dlatego, że brak im w ojczyźnie chleba? Czy gmach Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku jest przejawem zaspokojenia jakichś potrzeb gospodarczych? Pałac Kultury i Nauki w Warszawie jest budynkiem utylitarnym, czy świątynią kultu... Słoneczka?

KŁOPOTY Z PLANEM 6-LETNIM

KILKA miesięcy temu z okazji kongresu ziem odzyskanych wicepremier rządu warszawskiego, Jędrychowski, w bardzo różowych kolorach przedstawił sytuację gospodarczą kraju i zapowiedział, że są możliwości wykonania planu sześcioletniego w ciągu lat pięciu.

Ogłoszony niedawno (5. 11. 1952 r.) komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego jest zaprzeczeniem tych optymistycznych przewidywań. Komunikaty PKPG odznaczały się zawsze nadmierną zwięzłością, żaden z poprzednich komunikatów nie był jednak tak krótki i lakoniczny jak komunikat obejmujący trzeci kwartał ubiegłego roku. Całość komunikatu nie przekracza 90 wierszy druku i ujęta jest tylko w cztery podtytuły: produkcja przemysłowa, inwestycje i budownictwo, rolnictwo, obrót towarowy. Zagadnienia pracy, sprawa kosztów własnych, dochód narodowy itp. zostały zupełnie pominięte, choć w komunikatach z poprzednich okresów było zawsze coś na ten temat powiedziane. Na tym nie wyczerpują się jednak odrębności ostatniego komunikatu. Wbrew dotychczasowej praktyce nie podano procentów wykonania planu w odniesieniu do poszczególnych artykułów produkcji, nie podano też w jakim procencie plan został wykonany przez poszczególne ministerstwa.

Merytorycznie komunikat stwierdza, że w dziedzinie produkcji przemysłowej plan na 1952 r. w okresie od stycznia do września został wykonany w 98.7%. Komunikat podaje, że plan nie został wykonany przez ministerstwo hutnictwa, ministerstwo przemysłu chemicznego w zakresie produkcji kwasu siarkowego, sody i nawozów sztucznych, ministerstwo przemysłu maszynowego w zakresie obrabiarek do metali, ministerstwo przemysłu lekkiego w zakresie tkanin bowełnianych , cementu, oraz ministerstwo żeglugi w zakresie rybołówstwa morskiego.

Jak z tego widać, plan nie został wykonany w bardzo istotnych dla uprzemysłowienia kraju dziedzinach.

Jakby dla pocieszenia, komunikat stwierdza, że plan wykonano z nadwyżką w zakresie soli kamiennej, parowozów, samochodów osobowych, tkanin lnianych, pończoch, skarpetek męskich, szkła, mleka, mebli itp.

Bardzo znamienne jest, że zupełnym milczeniem pokryto sprawę wykonania planu w zakresie węgla kamiennego, węgla brunatnego, ropy naftowej, rud żelaza i miedzi, traktorów i szeregu innych ważnych artykułów. Milczenie to zdaje się wskazywać na fakt, że plan w tych dziedzinach również nie został wykonany, inaczej bowiem reżim nie omieszkałby tym się pochwalić.

Plan został wykonany w dziedzinie produkcji budowlano-montażowej w 102%, plan zaś inwestycyjny, wedle stanu na 31 września 1952 r., w 61.5% planu rocznego. Wynika z tego, że również i na tym odcinku osiągnięte rezultaty są znacznie poniżej celów określonych planem.

Warto zwrócić uwagę na wielki wzrost liczby kołchozów. Z komunikatu wynika, że w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy 1952 r. założono 1.161 kołchozów. Cyfra ta jest duża, o 306 większa od liczby kołchozów założonych w ciągu całego 1951 r. Ten triumf kolektywizacji jest jednak pozorny. Z prasy krajowej dowiadujemy się bowiem, że liczba kołchoźników wzrosła w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy o niewiele ponad 9 tys. Zważywszy, że w 1951 r. pomimo słabszego wzrostu liczby kołchozów liczba kołchoźników wzrosła o 22.300, przyjąć należy, że kandydatów do kołchozów pomimo intensywnej kampanii propagandowej znalazło się o wiele mniej niż w roku poprzednim. Nowo powstające kołchozy są w gruncie rzeczy niewielkimi jednostkami gospodarczymi. Przeciętna w nich liczba kołchoźników nie przekracza cyfry 9.

Jeśli idzie o handel, to z komunikatu wynika, że sytuacja zaopatrzeniowa na rynku nie uległa w ciągu 1952 r. żadnej poprawie, gdyż obroty handlu wzrosły zaledwie o 3%.

W związku z trudnościami rysującymi się przed planem sześcioletnim, reżim rozpoczął intensywną kampanię na rzecz nowych form wyzysku pracy w postaci zaciągów pionierskich, większego nacisku na zatrudnienie kobiet i wprowadzenia nowych form współzawodnictwa pracy.

Na zakończenie trzeba zaznaczyć, że pomimo niedociągania do planu buduje się w kraju dużo. Minorowy tenor komunikatu wskazywałby, że zadania planu na 1952 r. były zanadto naciągnięte. Dochodziły nas różne słuchy, że wyśrubowaniu planu na 1952 r. sprzeciwiał się Minc i w związku z tym przez cały niemal rok był jakby odsunięty, a na czoło wysunęli się Szyr i Jędrychowski. Obecnie Minc zaczyna znowu odgrywać poważną rolę.

Stanisław Skrzypek

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

NOWA KSIĄŻKA PROF. NAMIERA

Sir Lewis Namier, F.B.A.: IN THE NAZI ERA. Macmillan & Co. Ltd. Londyn, 1952. Stron 204.

Sir Lewis Namier, ostatnio uszlachcony historyk, profesor uniwersytetu w Manchesterze, zapisany jest trwale w pamięci Polaków, którzy nie zapomną mu jego artykułów w „Timesie" na tematy Polski. On to właśnie już w 1941 r. wypowiadał się na rzecz okrojenia Polski na wschodzie, torował drogę w opinii brytyjskiej przyszłym decyzjom jałtańskim.

Sir Lewis Namier pochodzi z Polski, z Wołynia czy Podola. Niegdyś nazywał się Bernstein, studiował w Anglii, obrał sobie karierę naukową, naturalizował się, przez pewien czas czynny był w ruchu syjonistycznym. Z właściwą jego rasie zaciekłością odpłaca Polsce za jakieś urazy z okresu młodości.

Uchodzi za jednego z przodujących historyków angielskich. Przyznać trzeba, że jest świetnym stylistą. Szereg jego książek, poświęconych okresowi poprzedzającemu wybuch drugiej wojny światowej, to zbiory jego artykułów w czasopismach, a nawet pismach codziennych.

Również ostatnia jego książka należy do tej samej kategorii. Temat polski mniej tu jest reprezentowany, jednak autor daje upust swej niechęci wobec Polski w drobnych uszczypliwościach (jak wspominając o „szakalu" polskim w stosunku do Czechosłowacji w 1938 r., o braku dobrej woli płk Becka wobec Czechów itd.). Na końcu książki zamieścił jednak polemikę z b. francuskim ministrem spraw zagranicznych Bonnetem, w której z zastrzeżeniami bierze w obronę stronę polską w fragmencie rozmów polsko-francuskich na temat Czechosłowacji, mylnie przedstawionym przez Bonneta.

Problem Namiera, jeśli chodzi o jego stosunek do Polski, ma dwa oblicza: wynikają one z jego zasadniczej prorosyjskości i antyniemieckości. Namier posuwa się w krytycyzmie wobec Niemiec dalej, niż to czynił kiedykolwiek lord Vansittart.

Książka Namiera omawia szereg pamiętników niemieckich, które jak grzyby po deszczu pojawiają się na rynku księgarskim nie tylko niemieckim, bo wiele z nich tłumaczonych jest na angielski. Autor przestrzega przed tymi „źródłami", które, podobnie jak propaganda niemiecka po pierwszej wojnie światowej, mogą utrwalić wykrzywiony obraz rzeczywistości historycznej okresu hitlerowskiego. Bo, jak pisze Namier, „w krajach, które nie przeszły okupacji niemieckiej na każdego badacza, który przestudiuje te niewymownie bolesne i wstydem napawające materiały (sc. niemieckich okrucieństw) przypadną setki czytelników, którzy swe wrażenia o tym okresie w Niemczech czerpać będą głównie z niemieckich pamiętników" (str. 4).

Pierwszymi autorami ogłoszonych pamiętników byli ludzie, którzy służyli Hitlerowi, lecz teraz usiłują wykazać, iż w gruncie rzeczy byli jego przeciwnikami i sabotowali jego dzieło. Autor wymienia tu Schachta, Weizsaeckera, amb. Dirksena, E. Kordta, sekretarza Ribbentropa, P. Schmidta, tłumacza Hitlera, Meissnera, szefa kancelarii prezydenta itd. Namier stwierdza, iż wartość tych pamiętników jako materiału historycznego jest skromna. Zawierają one mnóstwo niedokładności w szczegółach nawet niepolitycznych, a w zakresie osądów politycznych są jaskrawo tendencyjne.

Ci rzekomi „dobrzy Niemcy" okazują się niewiele mniej zaborczymi od samego Hitlera. Ich apetyt głównie był skierowany ku ziemiom polskim.

Obnażenie tej zaborczości niemieckiej za pomocą licznych cytat z publikacji niemieckich polityków, wojskowych itd. stanowi zasługę książki ogłoszonej w momencie zabiegów o współpracę niemiecką na szerokich wodach polityki międzynarodowej.

(m. ost.)

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO

PREZ. BIELECKI PRZEMAWIA DO KRAJU

(NBI) Prez. T. Bielecki wygłosił w dniu 3 bm. przez Radio Wolnej Europy w Monachium następujące przemówienie do kraju obrazujące życie i dorobek Romana Dmowskiego.

Drodzy Rodacy,

Mając możność nieskrępowanego przemawiania do Was, korzystam z jedynie mi dziś dostępnej drogi łączności z odciętym od świata krajem, aby przypomnieć, w czternastą rocznicę śmierci postać i dzieło Romana Dmowskiego.

Zanotujmy główne jedynie rysy jego działalności. Należał Dmowski do nielicznego grona mężów stanu, którzy za życia jeszcze oglądać mogli owoce swej walki i pracy. Odszedł na zawsze w przeddzień upadku wskrzeszonego po długiej niewoli państwa polskiego, tak jakby nie chciał patrzyć na ruinę swego dzieła.

Początki działalności twórcy polskiego ruchu narodowego przypadają na okres okrutnego przygnębienia po klęsce powstania 1863 r., kiedy zdawało się, że czarna noc na wieki opanuje naród polski, kiedy niewiara i zwątpienie zaczęły się wkradać w dusze dzielnych nawet Polaków.

Dmowski i garść jego współpracowników zrozumieli, że porywami powstańczymi, w samotnie prowadzonej walce zbrojnej z zaborcami nie odbudują niepodległego państwa, ale osłabiając siły żywotne narodu będą go tylko coraz bardziej pogrążali w niewolę. Wiedzieli również, że nie można odzyskać wolności idąc na współpracę z zaborcami. Dlatego zaczęli szukać nowych sposobów walki, skuteczniej prowadzących do wyzwolenia, niż metoda nieopatrznych zrywów bądź rezygnacja z dążeń do niepodległości w imię wygodnego urządzenia się na łonie trzech zaborców.

I jednej i drugiej orientacji obóz narodowy wypowiedział bezwzględną walkę.

Dmowski rozumiał, że nikt za nas i bez nas państwa samoistnego nie odbuduje. Toteż postanowił naprzód zorganizować naród do walki, następnie określić treść i cel zmagań, a wreszcie wybrać najlepszą drogę prowadzącą do istotnej niepodległości.

Nie improwizował, wiedział od początku czego chce i konsekwentnie do celu zmierzał.

Zaczął od wciągnięcia w orbitę prac narodowych szerokich mas polskiego ludu. Sam syn brukarza rozumiał lepiej od innych, że nowoczesny naród nie składa się z jednej tylko warstwy szlacheckiej, ale obejmuje wszystkie sfery społeczne.

Wiedział, że należy zrównać wszystkie warstwy narodu w prawach przez pociągnięcie wszystkich do równych obowiązków wobec ojczyzny. Proces unarodowienia ludu, pociągnięcia go do odpowiedzialności za Polskę i do

udziału w życiu państwowo-narodowym zaczął się na przełomie XIX i XX stulecia za sprawą ruchu narodowego.

Dziś proces ten w ogniu walki z okupacją niemiecką i sowiecką znakomicie się pogłębił oraz tak dobrze jak zakończył.

Uświadomienie narodowe objęło wszystkie warstwy; cały naród walczy dziś solidarnie o swe prawa i chce urządzać życie po swojemu zgodnie z naszą tysiącletnią tradycją historyczną i zasadami wiary rzymskokatolickiej.

Nie dziw więc, że Stronnictwo Narodowe zarówno przed wojną jak i w czasie wojny opiera swe siły głównie na chłopie, robotniku, rzemieślniku i inteligencie polskim.

Problem poszerzenia pojęcia narodu i nowoczesnej idei narodowej postawił Dmowski wyraźnie w „Myślach nowoczesnego Polaka", które wydał w r. 1903. Stały się one wyznaniem wiary szeregu pokoleń polskich i do dziś po 50 latach są — jakby powiedział Mickiewicz — „prawdą żywą", zrozumiałą i bliską dla nas współczesnych.

Następnie sformułował Dmowski program terytorialny przyszłego państwa i określił z kim pójść należy wobec zbliżającego się wówczas konfliktu.

Wysunął on postulat takiego obszaru państwa, na którym naród nasz byłby zdolny do samodzielnego życia i rozwoju. W naszym położeniu geograficznym, na wydmuchu między wschodem i zachodem nie ostoi się słaba, mała Polska. Stąd Dmowski żądał odbudowania państwa z szerokim dostępem do morza i z ziemiami zachodnimi, dawną kolebką państwa polskiego? Między Rosją a Niemcami może istnieć tylko wielkie państwo polskie.

Zarówno wpuszczenie Rosji po San i Bug, jak i opanowanie naszych ziem zachodnich przez Niemcy oznaczają zwichnięcie równowagi europejskiej i groźbę owładnięcia całą Europą. Sowiety osadzone nad łukiem Karpat, śmiertelnie zagrażają bezpieczeństwu świata, jak to dzisiejsza sytuacja potwierdza.

Niemcy posunięte na wschód, jak to wykazał krwawy eksperyment Hitlera, grożą zawojowaniem całego świata z Rosją włącznie.

Dmowski wiedział, że bez powalenia Niemiec nie da się odbudować niezależnego państwa. Toteż w r. 1908 wydaje swą książkę „Niemcy, Rosja i kwestia polska", w której ustala, że należy przede wszystkim zjednoczyć ziemie polskie, a żeby to osiągnąć należy wprzód rozgromić Niemcy. Stąd w okresie pierwszej wojny światowej idzie z koalicją zachodnią, w której była też i Rosja, aby pokonać głównego wówczas wroga.

Niemcy zostały istotnie pokonane, Rosja osłabiona wewnętrznym przewrotem w r. 1917 a Dmowski mógł podpisać zwycięski traktat wersalski i w ten sposób położyć kamień węgielny pod odbudowane po stu pięćdziesięciu latach niewoli państwo polskie.

Wysiłki swe na gruncie międzynarodowym, które przyniosły tak historyczne rezultaty, opisał w książce „Polityka polska i odbudowanie państwa" wydanej w r. 1925.

I dziś jak w czasie życia i działalności Dmowskiego musimy znów toczyć bój o Polskę. Z trzech zaborców Austro-Węgry znikły w ogóle z mapy świata, Niemcy podzielone na strefy okupacyjne w wyniku drugiej wojny światowej dźwigają się dopiero — choć szybciej niż się zdawało — z klęski. Pozostała na placu Rosja Sowiecka, która okupowała nasz kraj i srodze nas gnębi.

Agresja sowiecka, która nie ograniczyła się tylko do ujarzmienia naszej części Europy, ale idzie dalej i chce podbić Azję i Afrykę, aby móc zapanować nad całym światem, zaczyna spotykać od niedawna zdecydowany odpór Zachodu z Ameryką na czele.

Stany Zjednoczone po ostatnich wyborach prezydenckich wkraczają, jak się zdaje, w nową fazę „zimnej wojny" i przechodzą od polityki „powstrzymywania" komunizmu do polityki wyzwalania podbitych przez Sowiety państw. W roku nowym będziemy mieli do czynienia z próbami wprowadzania w życie nowej polityki.

Niesie ona jak każda akcja nadzieje i ryzyka. Dywersje wobec Sowietów nie są równoznaczne z wyzwoleniem Polski. Trzeba hasłu „wyzwolenia" nadać polską treść i nie dopuścić do przedwczesnych wybuchów niezgodnych z interesami polskimi.

Zadaniem naszym na emigracji — po to tu zostaliśmy — jest przyjść krajowi z odsieczą, rozwinąć rysujące się możliwości a zmniejszyć niebezpieczeństwa.

Zadaniem kraju — walczyć o duszę narodu i oszczędzać siły na te etapy walki, kiedy w grę wchodzić będzie bezpośrednio sprawa polska.

Imperium sowieckie — wierzcie — zacznie pękać, ale nie należy przed czasem marnować sił w nierównej walce.

Na progu nowego roku życzę wszystkim Rodakom w kraju a w szczególności wyznawcom idei narodowej, aby w walce o wolną Polskę wytrwali wbrew wszystkim trudnościom i przeszkodom.

Wiem, Moi Drodzy, jak Wam jest ciężko, choć się nie skarżycie, z jak okrutną przemocą walczycie, ale wierzę, że nawiążemy do świetnej tradycji Dmowskiego i zakończymy zmagania pełnym zwycięstwem. Daj Boże, aby Nowy Rok, zbliżył triumf naszej sprawy.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

W ROCZNICĘ ZGONU DMOWSKIEGO

W 14 rocznicę zgonu Romana Dmowskiego, przypadającą w dniu 2 stycznia, zostało odprawione w Brompton Oratory uroczyste nabożeństwo żałobne, na które przybyli licznie przedstawiciele polskiego życia politycznego, wojskowego i społecznego oraz władze naczelne Stronnictwa Narodowego. Wieczorem, w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego odbyło się zebranie poświęcone Dmowskiemu. Wieczór zagaił min. Z. Berezowski przedstawiając jedynie słuszną politykę twórcy obozu narodowego, który kładąc podpis na traktacie wersalskim doprowadził do odbudowania państwa. P. W. Wasiutyński mówił o aktualności założeń politycznych Dmowskiego zawartych w książce „Myśli nowoczesnego Polaka", których nowe, siódme z kolei wydanie ukaże się wkrótce w Londynie w 50 rocznicę pierwszego wydania. Ostatni mówca, p. J. Płoski przedstawił stosunek Dmowskiego do zagadnienia wojska.

Nabożeństwa żałobne, uroczyste zebrania i audycje radiowe poświęcone pamięci Dmowskiego odbyły się w wielu ośrodkach polskich w wolnym świecie.

W sobotę 3 stycznia prez. T. Bielecki wygłosił przez Radio Wolnej Europy w Monachium przemówienie do kraju obrazujące działalność polityczną Dmowskiego (treść przemówienia podajemy na innym miejscu).

OPŁATEK STRONNICTWA NARODOWEGO

Dorocznym zwyczajem Wydział Londyński Stronnictwa Narodowego urządził „Opłatek" dla członków i sympatyków we wtorek 6 bm. w domu Zjednoczenia Polek.

Życzenia złożył sekretarz Wydziału Londyńskiego p. J. Lisowski. Po przełamaniu się opłatkiem i skromnej wieczerzy zabrał głos imieniem władz centralnych SN min. Z. Berezowski, który w dłuższym przemówieniu zobrazował obecną sytuację międzynarodową oraz pomyślniejsze widoki dla polityki polskiej. Następnie p. W. Wasiutyński odczytał trawestację pamiętników ks. Kitowicza; dowcipne porównania wywoływały powszechną wesołość. Z kolei odśpiewano kilka kolęd. Wieczór zakończyły pogawędka towarzyska i tańce. „Opłatek" zgromadził nadspodziewaną ilość gości.

LISTY DO REDAKCJI

„UMOWA" Z 11 GRUDNIA

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze „Myśli Polskiej" z dnia 1 stycznia 1953, w artykule pod tytułem „Jubileusz prof. Strońskiego" pismo Pana komentuje w sposób polemiczny oświadczenie ogłoszone w prasie przez 23 członków rzeczywistych i aplikantów Związku Dziennikarzy R. P. Oświadczenie to dotyczyło sprawy nadania w ciągu ostatniego Zjazdu Związku Dziennikarzy R.P. członkostwa honorowego prof. S. Strońskiemu i warunków wśród których to nastąpiło. W artykule „Myśli Polskiej" znajduje się następujący zwrot: „Gwoli prawdzie należy zaznaczyć, że: 1. enigmatycznie wspomniana „umowa ustna" jest wymysłem podpisanych" . . .

To twierdzenie odnosi się do ustępu Oświadczenia, który brzmiał: „Wbrew umowie ustnej i decyzji Zarządu Głównego z dn. 12 grudnia 1952, stwierdzającym, że sprawa nadania członkostw honorowych nie będzie wnoszona pod obrady Zjazdu — członkowie Związku Dziennikarzy R.P. o określonej przynależności partyjnej przeprowadzili uchwałę o nadaniu członkostwa honorowego Związku prof. S. Strońskiemu".

Wobec nazwania przez „Myśl Polską" wzmianki o umowie ustnej „wymysłem", stwierdzam co następuje:

W dniu 11 grudnia 1952, o godz. 18.30 nastąpiło spotkanie prezesa Związku Dziennikarzy R.P. p. Bolesława Wierzbiańskiego, przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Związku p. Antoniego Dargasa i jednego z ówczesnych wiceprezesów Wydziału Wykonawczego Związku w mojej osobie. Celem tego spotkania było — zgodnie z tradycją przyjętą w naszej organizacji — przyjazne omówienie przez kilku kolegów, członków władz Związku, należących do różnych środowisk ideowych, spraw związanych z nadchodzącym Zjazdem tak, by jego obrady mogły się toczyć w atmosferze wolnej od zgrzytów i nieporozumień. Rozmowę z dn. 11. XII poświęcono w znacznej części sprawie członkostw honorowych, które były projektowane. Wobec tego, że wysuwane kandydatury (jedna z nich właśnie prof. Strońskiego) wywoływały sprzeciwy wśród części członków Związku, doszliśmy do przekonania, że należy zrewidować poprzednie stanowisko Wydziału Wykonawczego i sprawy członkostw honorowych nie przedstawiać Zjazdowi. To nasze porozumienie miało charakter „gentlemen agreement".

Następnego dnia, to jest 12 grudnia, odbyło się posiedzenie Zarządu Głównego Związku Dziennikarzy R.P., na którym w myśl powyższego ustnego porozumienia powzięto decyzję nie przedstawiania sprawy członkostw honorowych Zjazdowi. Decyzja ta powzięta została jednomyślnie.

Łączę wyrazy poważania,

Ludwik Rubel

I ROZMOWA Z 10 GRUDNIA

Szanowny Panie Redaktorze,

Dobrze się stało, że p. Rubel wyszedł nareszcie z ukrycia i przyznaje się, że to on dał początek wersji o istnieniu rzekomej „umowy ustnej" w sprawie nadawania członkostw honorowych przez Związek Dziennikarzy RP.

Istotnie odbyła się rozmowa z udziałem prezesa Zarządu Związku Dziennikarzy p. Wierzbiańskiego, p. Rubla i moim w dniu 10 grudnia (a nie 11 grudnia jak podaje autor listu). Zdaniem p. Rubla spotkanie odbyło się „zgodnie z tradycją przyjętą w naszej organizacji'. Powołanie się na tradycję jest mu potrzebne, by nadać rozmowie prywatnej z 10 grudnia charakter instancji nadrzędnej, poza i ponad-statutowej z kompetencjami szerszymi niż Zarządu czy nawet Walnego Zjazdu. Pragnę stwierdzić, że choć przez trzy kadencje zasiadałem w Zarządzie Związku Dziennikarzy, w tym dwukrotnie jako wiceprezes, nie pamiętam ani jednego wypadku, by uczestnicy prywatnych rozmów czy spotkań uzurpowali sobie zwierzchnie uprawnienia władz Związku, chcieli decydować w ich imieniu, bądź usiłowali pozbawiać poszczególnych członków Związku przysługujących im praw, m. i. prawa stawiania wniosków na Walnym Zjeździe. Rozmowy prywatne na tematy związane z działalnością Związku oczywiście odbywały się i na pewno będą się odbywać, ale nigdy nikomu nie przyszło na myśl, by z nich mogły wypływać jakieś „ustne umowy". Powoływanie się zaś na rozmowy prywatne i wykorzystywanie ich jako argumentu w działalności organizacyjnej czy w ogóle publicznej, powszechnie nie uchodzi ani za rzecz dobrą, ani przyzwoitą.

Przechodząc do samego przebiegu rozmowy z dnia 10 grudnia, pragnę stwierdzić, iż w poruszonej w niej (nie przeze mnie) sprawie nadania członkostw honorowych i wobec sugestii wysuniętej (znowu nie przeze mnie), by Zarząd Związku Dziennikarzy nie występował z wnioskami na Walnym Zjeździe, wyraziłem opinię, że może i tak byłoby najlepiej. Tyle i nic więcej.

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na tło ogólne akcji protestacyjnej przeciwko nadaniu członkostwa honorowego prof. Strońskiemu. Argumenty w niej wysuwane wskazują wyraźnie, że została ona zorganizowana dla określonego celu politycznego. Każdy chyba zdaje sobie z tego sprawę, że godność członka honorowego Związku Dziennikarzy R.P. nadano prof. Strońskiemu nie za jego poglądy polityczne czy działalność polityczną, ale za jego zasługi dla Związku Dziennikarzy R.P. i dziennikarstwa polskiego w ogóle. Skoro więc do sprawy prostej, nic z polityką nie mającej wspólnego, wprowadza się elementy polityczne i to w dodatku sprzed 30 lat, narzuca się wniosek, że chodziło o coś zupełnie innego. Na istotne cele tej akcji światło rzuca fakt, że została ona wszczęta w momencie rozpoczęcia rozmów w sprawie zjednoczenia politycznego emigracji i zarysowujących się realnych możliwości jego osiągnięcia. Słowem, czy przez odświeżanie sporów z przeszłości właśnie w tym momencie, nie chciało się doprowadzić do atmosfery takiego rozdrażnienia politycznego, w której by osiągnięcie zgody było utrudnione, bądź wręcz uniemożliwione?

P. Rubel w swoim liście sugeruje, że w rozmowie z dnia 10 grudnia reprezentował określone środowisko ideowe. Jakiego ośrodka mianuje się reprezentantem, gdyż o ile wiem, p. Rubel do Ligi Niepodległości nie należy?

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Antoni Dargas

NA MARGINESIE

KWESTIA PAMIĘCI

Podobno gdy protestanci antystrońscy zwrócili się do jednego z najbardziej znanych dziennikarzy sanacyjnych z propozycją podpisania oświadczenia, ten im odpowiedział:

„Nie podpiszę. Widzę tu podpisy albo byłych urzędników profesora Strońskiego, albo ludzi, którzy trzydzieści lat temu pisali gorsze rzeczy niż on, tylko pisali źle i dlatego wszyscy o tym dawno zapomnieli".

I rzeczywiście: kto jest w stanie pamiętać, co nie trzydzieści lat temu, ale trzydzieści godzin temu pisali np. Mękarski albo Piestrzyński?

Wyszły z druku
MICHAŁA PAWLIKOWSKIEGO
»DWA ŚWIATY«
500 stron druku, sześć map kolorowych, oprawa płócienna. Na papierze zwykłym 30/-, na papierze wytwornym 38/-
Do nabycia w księgarniach

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H.C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11, tel. BAT 0879. 15 January 1953